

Mleczna czekolada



Liivie Nexuzu

© Copyright by Livvie Nexuzu

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie, udostępnianie i kopiowanie całości lub części niniejszej publikacji jest zabronione bez pisemnej zgody autora.

Okładka: <https://pixabay.com>

Gatunki: LGBT, romans, kryminał

Rozdział 1

Zawsze woląłem ustronne, wąskie uliczki niż tętniące życiem okazałe aleje. No i teraz miałem zapłacić za te swoje upodobanie do zaułków.

Tego ranka jak zwykle przemierzałem szybkim krokiem dość długi dystans drogi, dzielący mnie od mojego mieszkania w Clapham do fabryki czekolady, w której pracowałem.

Londyn spowity był mgłą, przynajmniej na odcinku mojej trasy, a przez to miałem wrażenie, jakbym nagle znalazł się w kadrze filmu kryminalnego bądź dreszczowca.

Czy myśli mogą mieć wpływ na rzeczywistość? W moim przypadku, w tym konkretnym momencie, najwyraźniej tak.

– Kogo my tu mamy? – Usłyszałem czyjś ociekający drwiną głos.

Stałem przestraszony w miejscu. Przedemną z białej poświaty wyłoniły się sylwetki trzech typów. Dwóch młodych w okolicach dwudziestki, o mało wyróżniającym się wyglądem i trzeci, na oko po czterdziestce, ciemnowłosy i zarośnięty.

Wczesna pora, wyludniona uliczka, nie licząc tych podejrzanych osobników, no i ja.

Podsumowując – wyjątkowo niewesoła sytuacja.

Zrobiłem ostrożny krok do tyłu.

– Czyżby towarzystwo ci nie pasowało, królewno? – Najstarszy z nich wyszczerzył zęby w paskudnym uśmiešku.

Królewno? Mimo grozy sytuacji, to określenie mnie ubodło. Co jak co, ale żadna tam ze mnie królewna!

Jego kompani wybuchnęli śmiechem. Może potraktują mnie ulgowo?

– Nie mam przy... przy sobie dużo pieniędzy, ale... wszystko wam oddam – wyjąkałem.

– Wszystko? – spytał ponownie ten sam typ, niewątpliwie herszt bandy. W tonie jego głosu pojawiło się coś obłeśnego, co spowodowało, że mój strach jeszcze się

pogłębił. – Trochę chudy, nie? Co myślicie, chłopaki? Ale w sumie całkiem fajna dupeczka.

– Mieliśmy... – zawahał się jeden z jego towarzyszy. – To łatwa robota. Zróbmy tylko to, co do nas należy i wynośmy się stąd. Po co ryzykować?

Herszt wydał wargi.

– Mamy czas. Nikt się teraz tutaj nie kręci, a trochę rozrywki na boku nie zaszkodzi.

Powiniennem uciekać albo zacząć krzyczeć po pomoc. Zrobić coś, cokolwiek. A ja tylko stałem sparaliżowany strachem, bezsilny w jego okowach.

– No i jak? Będziesz dla nas miły? – spytał przewrotnie szef złowrogiej grupki, podchodząc do mnie niczym skradający się drapieżnik.

– Miły? – prychnąłem mimowolnie z niedowierzaniem. – Odbiło wam?

To nie był z mojej strony żaden akt odwagi, tylko impuls wywołany tą... hipokryzją.

Hipokryzja – zgrane słówko pasujące bardziej do salonowych intryg niż do obecnej sytuacji, ale nie umiałem nazwać tego inaczej na obecną chwilę.

Wyraz jego twarzy zmienił się. Już nie był niedbało-kpiący. Jego oczy zrobiły się zimne jak stal, a usta wykrzywiły się w grymasie wściekłości. Szybkim, zręcznym ruchem wyciągnął z kieszeni kurtki składany nóż, a drugą ręką złapał mnie za gardło, popychając jednocześnie na ścianę budynku, wyglądającego na magazyn.

Czarne plamki zatańczyły mi przed oczami, kiedy moja głowa uderzyła o mur. Cóż, przynajmniej nie straciłem przytomności, chociaż kto wie, czy to nie byłoby lepsze.

Tymczasem herszt przyłożył czubek noża do mojego policzka, ale nie na tyle głęboko, aby zranić skórę. Wyglądało na to, że odzyskał nad sobą kontrolę do tego stopnia, by w porywie szału nie zabić mnie od razu, tylko perfidnie ze mnie pogrywać.

Prześmiewczą wersją czułości pogładził mnie metalem po policzku, tylko z lekka dotykając mojej skóry. Potem odciął pierwszy guzik od mojej koszuli, wystający z rozpiętej kurtki.

Odruchowo wstrzymałem oddech, co momentalnie zauważył. Zaśmiał się cicho i okrutnie.

– No i cała zuchwałość wyparowała z ciebie, chłopczyku, co?

Wstyd się przyznać, ale zaszklily mi się oczy, a broda zadrżała. Mimo to milczałem, czując, że żadne błagania o puszczeniu mnie wolno, nie zrobiłyby na nim żadnego wrażenia. Jak już coś, tylko podsyciłyby w nim sadyzm.

Wyglądało na to, że nadszedł smętny koniec mojego, w gruncie rzeczy, beznadziejnego życia.

– Co tu się dzieje? – odezwał się nieoczekiwanie czyjś nowy męski głos.

Herszt zaklął pod nosem, po czym niechętnie odstąpił ode mnie.

– Zjeżdżaj stąd! – warknął w stronę nowoprzybyłego.

Mężczyzna z lekka przechylił głowę, ale nie ruszył się z miejsca. Stał z jakieś kilkanaście metrów od nas, czujnie przyglądając się rozwojowi wydarzeń.

Proszę, nie odchodź! – pomyślałem w panice, chociaż z pewnością dla niego byłoby bezpieczniej, gdyby jak najszybciej zmył się z pola widzenia.

Mężczyzna był ciemnoskóry, wysoki i dobrze zbudowany. Miał na sobie długi czarny płaszcz, który łopocząc na wietrze, nadawał nieznajomemu niemal nadnaturalnego wyglądu, szczególnie na tle mglistej scenerii.

Herszt znacząco zacisnął dłoń na nożu. W tym samym czasie, ciemnoskóry mężczyzna wyciągnął błyskawicznie z kieszeni płaszcza komórkę. W chwilę potem odezwał się mocnym głosem:

– Zgłaszam napad. Adres...

– Kurwa! – wrzasnął jeden z typów i czym prędzej dał nogę. Jego kompan szybko do niego dołączył.

Na placu boju pozostał jedynie ich przywódca, który miał taką minę, jakby najprostsza rzecz pod słońcem, została właśnie spartolona w najbardziej idiotyczny sposób.

– Upiekło ci się, mały! – syknął mi wściekle do ucha, po czym zniknął w ślad za swoimi kumplami.

Nadmiar wrażeń sprawił, że nogi ugięły się pode mną i osunąłem się na ziemię do pozycji siedzącej. Tym razem ściana za moimi plecami stanowiła bezpieczne oparcie.

– Jesteś ranny? – zaniepokoił się mój wybawca, podchodząc do mnie.

Pochylił się nade mną, a ja zauważyłem, że miał wyjątkowo ładne zielone oczy.

– N... nie – wymamrotałem. – Tylko... to niecodzienna sytuacja.

Uśmiechnął się krzywo.

– Delikatnie to ująłeś.

– Dziękuję za pomoc – powiedziałem pośpiesznie, przypominając sobie o dobrych manierach.

– Nie ma o czym mówić. – Podał mi rękę i pomógł wstać. – Co tu sam robisz o tak wczesnej porze?

– Szedłem do pracy. Na skróty.

– Kiepski pomysł – prychnął pod nosem.

– Nigdy dotąd nie miałem kłopotów. – Wzruszyłem ramionami.

– Do pracy, mówisz? Wyglądasz góra na szesnaście lat – zawyrokował, mierząc mnie baczny spojrzeniem.

– Mam dwadzieścia lat – oświadczyłem i dodałem z ciekawością: – A ty?

– Trzydzieści dwa.

– Ładny wiek – stwierdziłem bez namysłu.

– Sugerujesz, że jestem stary? – Uniósł z rozbawieniem brew.

– Jasne, że nie. Po prostu chyba sam chciałbym być już starszy niż jestem.

– To dziwne – oznajmił po chwili milczenia.

– Zapewne w opinii większości ludzi, ale w moim przypadku, tak pewnie byłoby łatwiej.

Otworzył usta, aby jakoś to skomentować albo o coś zapytać, ale ostatecznie zmienił zdanie i tylko popatrzył na mnie z zastanowieniem.

Przestąpiłem z nogi na nogę.

– Jeszcze raz dziękuję. Muszę już iść, bo inaczej spóźnię się do pracy.

– Zamierzasz iść do pracy, jak gdyby nigdy nic? – spytał z niedowierzaniem.

– Dzięki tobie, nic mi się nie stało.

- Nie mogę się na to zgodzić – oświadczył zdecydowanie.
- Jak mam to rozumieć?!
- Niedaleko stąd jest mała kawiarenka, którą otwierają absurdalnie wcześnie.

Zapraszam cię na gorącą czekoladę.

Wbrew sobie parsknąłem śmiechem.

- O co chodzi? – Popatrzył na mnie zabawnie.
- Pracuję w fabryce czekolady, więc obcuję ze słodyczami na co dzień, ale... czemu nie. Pod warunkiem, że ja stawiam. Chociaż tyle mogę dla ciebie zrobić.
- Nie będę się opierał. – Czy mi się zdawało, czy nie zabrzmiało to dwuznacznie?

Ale nie, chyba nie.

– A zatem chodźmy – rzuciłem lekko, chociaż wcale tak się nie czułem. Mogłem marnie skończyć jeszcze kilka chwil temu, a teraz wybierałem się na kubek kakao z nieznanym mi mężczyzną.

- Jestem Maxime – zaoferował, jakby czytał w moich myślach.
- Julian. – Uścisnąłem jego wyciągniętą dłoń.

Dopiero kiedy ruszyliśmy, zwróciłem uwagę na znaczny kontrast w naszym wyglądzie. Pierwsza rzecz – wzrost. Moja ciotka Helen uszczypliwie mawiała, że mam metr pięćdziesiąt w kapeluszu. Tak naprawdę mam metr siedemdziesiąt, co w pewnym sensie na jedno wychodzi. Gdybym był dziewczyną, miałbym powody do zadowolenia. Jako chłopak, do tego chudy, nie sprawiałem zbyt imponującego wrażenia. Moje włosy były bardzo jasne, niczym mleko, a ciemnobrązowe oczy na tle wyjątkowo bladej cery, robiły nienaturalne wrażenie – kolejna „uprzejma” uwaga ciotki Helen pod moim adresem.

Maxime zręcznie poprowadził nas między budynkami, tak że w jakieś dziesięć minut później znaleźliśmy się w małej, przytulnej kawiarence. Jak się okazało, nieliczni klienci już okupowali to miejsce. Złożyłem zamówienie i w chwilę potem usiedliśmy z parującymi kubkami kakao w rękach przy stoliku obok okna.

- Nigdy wcześniej tu nie byłem, chociaż chodzę do pracy trasą niedaleko stąd.
- Tą mniej uczęszczaną – zauważył, pijąc z przyjemnością gorący napój.
- Tak – odparłem tylko tyle.

– Po dzisiejszym poranku zapewne zmienisz nawyki.

Zmrużyłem na niego oczy, nic nie mówiąc.

– Nie chciałem być złośliwy – zastrzegł szybko.

Westchnąłem.

– Wiem, a raczej domyślam się.

Objąłem palcami kubek, aby rozgrzać ręce. Na zewnątrz było nieco zimno, a ja dodatkowo odczuwałem chłód, wynikający ze stresu, którego nie chciałem okazywać.

– Miłe miejsce – zmieniłem temat, rozglądając się wokoło.

Pomieszczenie urządzone było z fantazją, wypełnione bibelotami, niekoniecznie pasującymi do siebie, ale całość tworzyła uroczą i nieprzeładowaną kompozycję.

– Owszem. – Maxime nawet nie podążył za moim wzrokiem. – Może powinieneś zadzwonić do pracy i wziąć dzień wolnego?

– A tak, faktycznie! Z tego wszystkiego zapomniałem o swoich obowiązkach.

Szybko wybrałem numer do biura fabryki, od rana zawsze ktoś tam był.

– Larry Simmons przy telefonie – odezwał się służbowy, a zarazem przyjemny dla ucha głos mojego przyjaciela a zarazem kierownika zmiany.

– Witaj, Larry, tu Julian. Źle się czuję i obawiam się, że nie dam rady dziś pracować.

– Jesteś chory? Moja dziewczyna też złapała grypę. Jesień bywa zdradliwa.

– Nie, nic z tych rzeczy. Wygląda na to, że czymś się strułem. Pewnie za kilka godzin mi przejdzie, ale dla pewności wołałbym zostać w domu.

– Oczywiście. Niczym się nie przejmuj. Powinieneś lepiej dbać o siebie – przybrał niemal braterski ton.

– Tak, tak, wiem – odparłem pośpiesznie. – Do zobaczenia jutro.

– Trzymaj się.

– No i po sprawie – mruknąłem na poły do siebie, na poły do Maxime'a.

– Wydajesz się teraz niezwykle opanowany, a przecież jeszcze pół godziny temu mogłeś zginąć.

– Nie po raz pierwszy – wyrwało mi się i od razu tego pożałowałem.

Maxime znieruchomiał.

– Czy ktoś nastaje na twoje życie?

– Nie... tak tylko palnąłem. Nerwy, widzisz? Wcale nie jestem taki spokojny, za jakiego chciałbym uchodzić.

Przez moment świdrował mnie spojrzeniem swoich wyrazistych zielonkawych oczu, a ja przez to uległem chwilowemu rozproszeniu.

– Masz kłopoty, prawda? – To pytanie momentalnie mnie otrzeźwiło.

– Być może – powiedziałem ostrożnie.

– Enigmatyczna odpowiedź.

– Ale jedyną jakiej mogę ci udzielić.

– Dlaczego?

– Bo nie jestem pewien, czy nie ponosi mnie wyobraźnia.

– Czy ktoś miałby powody, aby się ciebie pozbyć?

Tak, miliony powodów – pomyślałem z przekąsem.

– Właściwie po co miałbym się tobie zwierzać ze swoich potencjalnych problemów? Dopiero cię poznałem. Równie dobrze, możesz być w zмовie z tymi typami, którzy na mnie napadli! – rzuciłem hardo.

Wyraz twarzy Maxime'a nie uległ najmniejszej zmianie. Spokojnie pił kakao, spoglądając na mnie przy tym z całkowitym spokojem. Momentalnie poczułem, że się wygłupiłem.

– Ja...

– W porządku, masz prawo być nieufny. Możesz mi wierzyć jedynie na słowo, ale ja naprawdę nie miałem z nimi nic wspólnego.

– A tak w ogóle, to co tam robiłeś?

– Wracalem z pracy. Część drogi do domu postanowiłem przebyć pieszo.

– Z pracy? Jesteś nocnym recepcjonistą czy kimś w tym rodzaju?

Roześmiał się ubawiony, po czym wyjął z kieszeni marynarki portfel i wyciągnął z niego wizytówkę. Podał mi ją, a ja pierwsze na co zwróciłem uwagę to, że wykonana była z ozdobnego papieru. Z eleganckiego tekstu wynikało, że Maxime miał na nazwisko Collier i był managerem nocnego klubu o nazwie *Niebieski Księżyc*.

Poszperałem w pamięci.

– Nie wydaje mi się, bym słyszał o takim klubie – stwierdziłem w końcu.

– To gejowski klub rozrywkowy, który mieści się w Soho.

– Ach tak, czyli taki, w którym ładni i muskularni chłopcy prężą się na rurach? – spytałem bardziej lekceważąco, niż zamierzałem.

– W skrócie można tak to ująć – odparł naturalnie, kompletnie niezrażony moim nastawieniem.

– Przepraszam, wylazł ze mnie snob – przyznałem, patrząc na niego z zakłopotaniem. Co jak co, ale ten gość właśnie uratował mi tyłek, i to dosłownie. Zasługiwał na uprzejmiejsze traktowanie z mojej strony.

Machnął niedbale ręką.

– Jestem przyzwyczajony do takich reakcji. A klub sam w sobie, wierz bądź nie, oferuje wyrafinowaną rozrywkę na wysokim poziomie.

– Z pewnością – bąknąłem.

Kącki jego ust uniosły się w tłumionym uśmiechu, ale niemal natychmiast wyraz jego twarzy spoważniał.

– Opowiedz mi szczegóły zajścia dzisiejszego poranka do momentu, kiedy się pojawiłem.

Skrzywiłem się, jakbym połknął cytrynę, ale opowiedziałem mu wszystko, nie wyłączając zapędów herszta do „bliższego” poznania mnie. Ta część wciąż wzbudzała we mnie głęboki niesmak i jak zauważyłem, w oczach Maxime’a na moment błysnął gniew.

– Łatwa robota? – powtórzył w zamyśleniu słowa jednego z mężczyzn. – Nie mieli ze sobą broni, to pewne.

– Na nasze szczęście – mruknąłem.

– Działali dyskretnie. Zakładali, że szybko się z tobą uwiną, bez świadków. Tylko po co mieliby zawracać sobie tobą głowę? – Zmarszczył brwi.

– Słucham? – obruszyłem się odruchowo.

Przewrócił oczami.

– Chodzi mi o to, że wyglądasz skromnie. Żaden bogacz z wypchanymi kieszeniami. Niespecjalnie by się obłowili.

– No tak. – Spuściłem wzrok i łyknąłem końcówkę wystygłego już kakao.

– To mógł być przypadek, że akurat na nich trafiłeś – ciągnął Maxime. – Tylko te słowa – „to łatwa robota”, nie dają mi spokoju. To może wskazywać na zaplanowane działanie. I w związku z tym powraca moje pytanie, czy ktoś mógłby chcieć cię zabić?

Milczałem.

– I próbował nie po raz pierwszy? – dodał z naciskiem.

Potrząsnąłem głową.

– Wygląda na to, że jestem paranoikiem.

– Ale nie dziś – zauważył.

Kiedy ponownie nie odezwałem się, jego spojrzenie złagodniało.

– Rozumiem. Kompletnie mnie nie znasz, a ja oczekuję, że obnażysz przede mną swoją duszę. Masz moją wizytówkę. Zadzwoń, jeśli będziesz potrzebował pomocy. Zadzwoń, nawet jeśli nie będziesz jej potrzebował – zakończył żartobliwym tonem, ale nie wątpiłem, że mówił poważnie.

– Och, okej. To znaczy, pomyślę o tym.

Maxime uśmiechnął się na pożegnanie i opuścił kafejkę, a mnie nie było sensu siedzieć tu dłużej samemu. Schowałem jego wizytówkę do kieszeni kurtki i ruszyłem do domu. W jakiś czas potem dotarłem do kamienicy, w której mieszkałem i kiedy w środku mijalem recepcję, automatycznie przybrałem sztucznie pewny siebie wyraz twarzy.

– Miłego dnia, panie Sherrinford – pozdrowiła mnie z przymilnym uśmiechem młoda recepcjonistka.

Westchnąłem w duchu. Ta dziewczyna robiła do mnie maślane oczy, od kiedy tylko rozpoczęła tu pracę, trzy miesiące temu.

– Dziękuję, nawzajem, Primrose.

Zaczerwieniła się, a ja szybko ruszyłem w stronę windy. Primrose była szczupłą i atrakcyjną dziewczyną o bujnych rudoblond włosach i wielkich błękitnych oczach. Gdybym sekretnie nie preferował własnej płci, uznałbym ją za niczego sobie.

Kiedy dotarłem do swojego mieszkania, z ulgą zamknąłem za sobą drzwi, dzielące mnie od świata zewnętrznego, w sensie dosłownym i w przenośni. Czasami natłok

wrażen potrafił dać w kość do tego stopnia, że dom stawał się jedyną bezpieczną przystanią. Co jak co, ale dziś miałem tych wrażeń pod dostatkiem.

Doceniałem fakt, że mieszkałem w Londynie sam, chociaż czasami odczuwałem ukłucie żalu, że brakuje w moim życiu kogoś bliskiego. Osoby, którą mógłbym darzyć uczuciem. Gdybym miał rodziców i nawet rodzeństwo, być może samotność zbyt mocno nie dawałaby mi się we znaki. A tak...

Przerwałem smętny potok myśli i rozejrzałem się po swoim mieszkaniu. Bardzo je lubiłem, chociaż zakładałem, że ma charakter tymczasowy. Było nie za wielkie, ale nowocześnie urządzone. Salon połączony był z kuchnią. W części pokojowej stały jasne meble, wygodna kanapa, a naprzeciwko niej znajdował się okazały telewizor, przed którego ekranem wieczorami traciłem zbyt wiele czasu. Byłem również posiadaczem wolnostojącego piecyka gazowego imitującego kominek, do których miałem słabość. Na komodzie stały, oprawione w srebrne ramki, zdjęcia dwóch najdroższych mi ludzi – mojego taty Thadiusa i dziadka Johna. Niestety obaj odeszli już z tego świata.

Westchnąłem ciężko i usiadłem na kanapie. Moje myśli powędrowały do wydarzeń dzisiejszego poranka. Napad, który mógł zakończyć się dla mnie tragicznie, nieoczekiwane ocalenie, a teraz... w mojej głowie kotłowały się wątpliwości oraz podejrzenia.

Zasugerowałem Maxime'owi, że ktoś mógłby chcieć mnie zabić, a potem się z tego wycofałem. Poniekąd. Domyślił się, że coś nie gra, ale nie naciskał.

Szkoda – pomyślałem z pewnym rozczarowaniem, by zaraz zganić siebie w duchu: Przecież nie zostawił mnie z niczym. Dał mi swój numer telefonu i zaoferował pomoc. Tylko, że to obcy facet. Jak mogę mu zaufać, kiedy na chwilę obecną podejrzewam niemal każdą osobę ze swojego otoczenia. Więc może jednak facet z zewnątrz to wcale nie taka zła rzecz? Nie mam przecież nic do stracenia.

Pokiwałem głową sam do siebie, powziąwszy decyzję, że jednak skorzystam z jego oferty i zadzwonię do niego. Ale nie dzisiaj. Musiałem to jeszcze raz wszystko dokładnie poukładać sobie w głowie.

Rozdział 2

Jadąc autobusem na spotkanie z Maxime'em, tym razem w centrum Londynu, przypomniałem sobie z pewnym rozbawieniem, jego określenie względem mojej osoby, że wyglądam skromnie. Faktycznie, miałem wtedy na sobie wytarte szare jeansy i przydługą ciemną kurtkę, do tego zwyczajne znoszone czarne buty. Łatwo „zniknąłbym” w tłumie. Teraz prezentowałem się nieco lepiej – brązowe spodnie, kurtka w kolorze miedzi i wygodne mokasyny. Wszystko nowe, chociaż nadal... skromne. Zwyczajnie, nie lubiłem zwracać na siebie uwagi. Same koszty nie wchodziły w grę. Pieniądzy to akurat miałem w bród.

Wysiadłem na Oxford Street i skierowałem się w okolice stacji metra, gdzie umówiłem się ze swoim nowym znajomym. Maxime już na mnie czekał, elegancki i zadbany, jak poprzednio.

– Obawiałem się, że nie przyjdiesz – powitał mnie z ulgą w głosie.

– Czyżbym się spóźnił? – Zerknąłem na zegarek. Nie, byłem o czasie.

– Przez telefon twój głos brzmiał niepewnie.

– Mój głos zwykle brzmi niepewnie – mruknąłem samokrytycznie.

– Każdemu może się zdarzyć – stwierdził lekkim tonem. – Jesteś pewien, że masz ochotę na pizzę?

– A co jest z nią nie tak? – Zaśmiałem się.

– Nic, tylko miałem nadzieję, że skuszę cię na coś wykwintniejszego.

– Moje kubki smakowe mają ochotę na dużą pepperoni.

– W takim razie twojemu życzeniu zaraz stanie się zadość.

Ponownie roześmiałem się, zaskoczony, że tak łatwo mi się z nim rozmawiało, ponieważ zwykle nie brylowałem na tym polu. Ale niewątpliwie było to zasługą Maxime'a. Roztaczał wokół siebie aurę spokojnej pewności siebie, która nie krępowała, a dawała poczucie bezpieczeństwa.

– Jesteś zbyt idealny – wypaliłem.

– A co takiego zrobiłem? – zdziwił się autentycznie.

– Jesteś miły.

– Chcesz powiedzieć, że nie ma w twoim życiu miłych ludzi?

– Niewielu – przyznałem, nie patrząc mu w oczy. Pewnie pomyślał, że coś jest ze mną nie tak.

– Mieliśmy iść na pizzę – przypomniał z uśmiechem. – Poza tym stanie w tym miejscu to nienajlepszy pomysł, ciągle ktoś na nas wpada.

– Racja.

Ruszyłem pośpiesznie w kierunku restauracji. Oczywiście znacznie wyższy ode mnie Maxime, nie miał żadnych problemów z dotrzymaniem mi kroku.

– Mała hawajska? – Uniosłem brew na jego wybór. – Myślałem, że taki spory facet jak ty wtrząchnie naraz dwie duże nafaszerowane mięsem pizze.

Ktoś przechodząc obok naszego stolika w pizzerii, miałby prawo pomyśleć, że zamieniliśmy się talerzami.

– Chcesz powiedzieć, że jednak nie jestem idealny? – Zrobił udawanie zasmuconą minę.

– Ha, ha. Przy tobie wychodzę na obżartucha.

– To zastanawiające, gdzie to wszystko mieścisz – przyznał z uśmiechem.

– Mam rewelacyjny metabolizm. – Z przyjemnością wbiłem zęby w soczysty, ociekający serem kawałek pizzy.

– Cieszę się, że już doszedłeś do siebie po tamtym.

Od razu zrzędała mi mina.

– Nie wracałbym do tego tematu, ale odniosłem wrażenie, że obawiasz się kolejnych, potencjalnych... incydentów.

– Być może.

– Znow to „być może” – jego głos zabrzmiał wręcz karcąco.

Wziąłem głęboki oddech.

– Za kilka miesięcy skończę dwadzieścia jeden lat. Wtedy, zgodnie z ostatnią wolą mojego dziadka, stanę się pełnoprawnym właścicielem większości majątku Sherrinfordów. To moje nazwisko – dodałem szybko.

– Jak rozumiem, to znaczny majątek?

– Niemały – zgodziłem się. – Moi krewni, którzy do tej pory pociągali za sznurki, są niespecjalnie uszczęśliwieni tą sytuacją, jak łatwo się domyślić.

– A twoi rodzice?

– Mój tata nie żyje od kilka lat, a matka... Małżeństwo moich rodziców jak słyszałem, trwało bardzo krótko. Po rozwodzie zostałem z tatą, zaś moja matka odeszła ze znaczną sumą pieniędzy, aby na nowo ułożyć sobie życie.

– Przykro mi.

– Mnie również, z uwagi na tatę. Moja matka jest mi natomiast kompletnie obojętna.

– Kto w tej chwili sprawuje pieczę nad majątkiem?

– Formalnie, tylko mój wuj Victor, a w praktyce on, jego żona Helen oraz ich synalek Nigel – wymówiłem ich imiona z wyraźną niechęcią.

– Sherrinford – powtórzył w zamyśleniu. – Chyba gdzieś obilo mi się o uszy to nazwisko, w związku z jakąś akcją charytatywną zainicjowaną przez wyższe sfery. Jesteś może hrabią albo markizem? – spytał z humorem.

– Trochę niżej. Jestem baronem.

Szeroko otworzył oczy.

– Pierwszy raz rozmawiam z kimś z tytułem lordowskim.

– Mam nadzieję, że nie odczuwasz przemożnej potrzeby, aby ucałować mój pierścień rodowy – rzuciłem sucho, speszony jego reakcją, tak charakterystyczną dla każdego, kto się dowiadywał, kim jestem.

– Widzę, że zapomniałeś go dzisiaj włożyć – stwierdził drocząco – ale sam pomysł mi się podoba.

Niespodziewanie wziął mnie za rękę i... pocałował ją.

– Co ty wyprawiasz?! – syknąłem, wrywając swoją dłoń. Przy okazji omiotłem spojrzeniem salę. Napotkałem tylko rozbawione twarze. – Tylko się nabijałem z tym całowaniem pierścienia!

– Aha, sorry – powiedział bynajmniej nieprzepraszającym tonem. Jak na mój gust, bawił się zbyt dobrze.

– Ktoś chce mnie sprzątnąć, pamiętasz?

Momentalnie spoważniał, a ja poczułem ukłucie żalu, że zepsułem ten w gruncie rzeczy fajny moment.

– Masz rację, wybacz.

– To wciąż mogą być tylko moje podejrzenia – powiedziałem szybko.

– Na czym je opierasz, pomijając sytuację sprzed kilku dni?

– Nasza posiadłość pod Londynem jest można powiedzieć – wiekowa. Zdarzają czasami rozmaite usterki, to naturalne. Z jakieś dwa miesiące temu obłamał się kawałek muru, kamienna ozdoba. Gdybym w porę nie odskoczył, wyrznęłaby mnie w głowę. Najprawdopodobniej ze skutkiem śmiertelnym.

– Nie możecie zrobić remontu? – zadał zdawałoby się logiczne pytanie.

– To ogromna rezydencja. Nie sposób przewidzieć wszystkiego.

– Czy coś jeszcze się wydarzyło? – Maxime wyjątkowo wolno konsumował swoją pizzę.

– Tak, w fabryce, w której pracuję. Jak już zapewne się domyślasz, należy do mojej rodziny.

– Czym się tam zajmujesz? – spytał znienacka.

– Pracuję między innymi przy procesie produkcji jako zwykły robotnik. Postanowiłem poznać pracę od podszewki. – Spojrzałem na niego z wyzwaniem w oczach.

– To ci się chwali, o ile tylko o to chodzi – powiedział znacząco.

Zamrugalem oczami. Jakim cudem ten facet tak łatwo rozszyfrowywał motywy moich działań?

– Praca w tym charakterze jest formą ucieczki od mierzenia się ze światem – przyznałem z zakłopotaną miną.

– Co wydarzyło się w fabryce? – zapytał, znów zręcznie kierując rozmowę na właściwe tory.

– Kilka tygodni temu jedna z maszyn za szybko wykonała działanie, wskutek czego moja ręka mogła ulec zmiżdżeniu. Tylko cudem udało mi się tego uniknąć.

– Auć! – Ze świstem wciągnął powietrze. – Musiałeś przerazić się nie na żarty.

– Oblał mnie wtedy lodowaty pot.

– Ktoś mógł majstrować przy maszynie – mruknął z namysłem. – Jeszcze jakieś podejrzone sytuacje?

– Nie, ale mam ciągle uczucie niepokoju. Nazwij to przekłątą intuicją. Czuję, że coś jest nie tak.

– Rozumiem. – Pokiwał wolno głową, patrząc na mnie ze wzmożoną uwagą. Zielen jego oczu miał w sobie coś kojącego.

– Dzięki za komplement.

Hm, wyglądało na to, że wyjątkowo głośno myślałem.

– Masz nietypową urodę – zauważyłem.

– Jestem Mulatem. Kolor oczu odziedziczyłem po białym ojcu. Jest Francuzem. Natomiast moja matka pochodzi z Wybrzeża Kości Słoniowej. Ich romans był podobno krótki i bardzo burzliwy. Mimo to moja matka dopilnowała, aby mój ojciec łożył na moje wychowanie i miał ze mną przynajmniej sporadyczną łączność – zrelacjonował to wszystko wyważonym tonem.

– Jesteś w kontakcie ze swoimi rodzicami?

– W sporadycznym – powtórzył – chociaż z moją matką widuję się nieznacznie częściej.

– Dziękuję, że miałem okazję dowiedzieć się również czegoś o tobie. Do tej pory gładziliśmy tylko o mnie.

Roześmiał się, a ja poczułem zadowolenie, że udało mi się poprawić mu nastrój, ponieważ jak zauważyłem, nie był to dla niego zbyt łatwy temat.

– Żebyś nie myślał, że tylko chowam się w fabryce, wiedz, że również studiuje – poinformowałem go. – Kilka razy w tygodniu, popołudniami. Zarządzanie i Marketing.

– Z pewnością to ci się przyda, w twojej sytuacji.

– Tak – przyznałem z niewesołą miną. – To będzie monstrualne wyzwanie.

– Czy są osoby, na których możesz polegać?

– Ten facet, z którym rozmawiałem wtedy przez telefon, Larry. Zawsze był wobec mnie w porządku, jak i ludzie z fabryki, wyłączając głównego dyrektora – Carla Bowena, przydupasa mojego wuja.

– Czy fabryka to wasz jedyny biznes?

– Główny. Prowadzimy również jeszcze kilka pomniejszych interesów. Mój wuj świetnie się w tym wszystkim rozeznaje. Nigel również dość dobrze sobie radzi na tym polu. Ciotka ma natomiast rozległe kontakty towarzyskie i robi z nich zazwyczaj niezły użytek. Mnie równie dobrze mogłoby nie być – skonkludowałem gorzko.

– Dlaczego się na to godzisz? – spytał bez nagany w głosie.

– Bo tak do tej pory było dla mnie wygodnie. Im mniej ich oglądam na oczy, tym lepiej.

– Brzmi jak bajka o Kopciuszku.

– Oferujesz podjąć się roli dobrej wróżki? – zażartowałem.

– Nie, kiepsko bym wyglądał w sukni, księżę to inna para kaloszy.

– Wolę kalosze niż pantofelki – stwierdziłem z udawaną powagą.

– Ja również. A skoro poznajemy się bliżej, preferujesz czekoladę mleczną czy gorzką?

– Zdecydowanie mleczną, a ty?

– Tak samo. Wolałbyś otrzymać w prezencie kwiaty czy czekoladki?

– Jeszcze się pytasz, zdecydowanie czekoladki. A poza tym kwiaty są dobre dla dziewczyn.

– Nie obraziłbym się, gdyby ktoś wręczył mi różę.

– Czerwoną?

– Wszystko jedno.

Zaśmiałem się, a on mi zawtórował. Znów przez chwilę mogłem zapomnieć o całym świecie, a tego naprawdę potrzebowałem. Chociaż na chwilę.

To dosłownie trwało tylko chwilę, bowiem Maxime ponownie przywrócił powagę sytuacji.

– Czy sądzisz, że któreś z nich byłoby zdolne do morderstwa?

Westchnąłem i potrząsnąłem głową.

– Chyba nie, nie sądzę. Wprawdzie między nami nie zawsze dobrze się układa, to znają mnie na tyle, by wiedzieć, że nadal będą mogli korzystać z wielu przywilejów. Fabryka i rezydencja będą pełnoprawnie należeć do mnie, ale reszta interesów pozostanie w rękach wuja. To wciąż niemałe pieniądze i dość znaczne dochody.

– Więc jak nie oni, to kto? Masz jakichś innych, potencjalnych wrogów?

– Nie, nie wydaje mi się. Może to jednak moje urojenia?

– Wierzę w przeczucia – oznajmił stanowczo. – Na twoim miejscu miałbym się na baczności.

– No to co mam zrobić? – spytałem z frustracją w głosie.

– Brakowało mi ostatnio świeżego wiejskiego powietrza. – Popatrzył na mnie zawiadaczko.

– Tak? – spytałem ostrożnie, chociaż domyślałem się do czego zmierza.

– Kiedy ty i twoja rodzina spędzacie czas w rezydencji?

– Ciotka prawie ciągle tam przebywa, a my zazwyczaj przyjeżdżamy na koniec tygodnia.

– Idealnie. Zapraszam się do twojej posiadłości.

– Zapraszasz się? – spytałem z rozbawieniem.

W odpowiedzi błysnął bielą zębów.

– Skoro już się zaprosiłeś, to nie mam prawa się sprzeciwić. Przyszły weekend ci odpowiada?

– Bez problemu wezmę sobie wolne.

Maxime wkrótce się pożegnał, tłumacząc nawalnym zajęciem, a ja jeszcze przez chwilę siedziałem za stołem. Zastanawiałem się, czy zgadzając się na jego przyjazd do rezydencji, nie popełniłem przypadkiem kolosalnej pomyłki. No bo co taki Maxime, czy ktokolwiek inny, mógłby zrobić w sytuacji, naszpikowanej głównie moimi podejrzeniami, bez konkretnego dowodu, że ktoś faktycznie nastawał na moje życie?

Zadzwoił telefon. Odebrałem połączenie, nie sprawdzając kto to. Moment później miałem tego pożalować.

– Halo?

– Julian, tu twoja NARZECZONA – głos Letycji nie mógł zabrzmieć bardziej dosadnie.

Westchnąłem ciężko w duchu.

– Witaj Letycjo, to nieodpowiednia chwila.

– A czy kiedykolwiek jest? – spytała uszczypliwie.

– Tak jakoś się składa – powiedziałem wykrętnie.

– Za kilka miesięcy mamy wziąć ślub, a ty zachowujesz się, jakby to ciebie w ogóle nie dotyczyło!

– Jakbyś nie pamiętała, to zaaranżowane małżeństwo, a my siebie nawet nie lubimy – wytknąłem jej z przyjemnością.

– A ja po raz setny ci tłumaczę, że to nie ma nic do rzeczy. Chyba że... zamierzasz złamać słowo dane swojemu tacie. – Oczywiście Letycja nie miała skrupułów, aby zagrać tą kartą.

– Bez obaw, zostaniesz baronową – oznajmiłem kwaśno.

– To nie musi być wcale takie trudne – powiedziała, starając się nadać swojej wypowiedzi delikatny ton, ale będąc sobą, poległa na całej linii. Letycja była bowiem zimna jak sople lodu.

– Muszę kończyć, odezwę się do ciebie wkrótce.

– W porządku – wycedziła – ale pamiętaj, nie możemy przeciągać tego w nieskończoność.

– Wiem, do usłyszenia.

Rozłączyła się bez słowa. Odetchnąłem głęboko i wstałem z siedzenia. Wyszedłem z pizzerii całkowicie pogrążony w myślach.

Poznałem Letycję Wilson, kiedy oboje mieliśmy po pięć lat. Ja na dzień dobry pociągnąłem ją za kucyk, a ona w rewanżu mnie kopnęła. Nasze rodziny podeszły do tego z humorem, w myśl powiedzenia „kto się lubi, ten się czubi”. Nic bardziej mylnego, przynajmniej w naszym przypadku.

Nigdy nie darzyliśmy się sympatią, a kiedy ostatnim, gorącym życzeniem mojego taty było, abyśmy się pobrali, w okolicy moich dwudziestych pierwszych urodzin, byłem zdruzgotany. W duchu. Na zewnątrz zgodziłbym się na wszystko, aby go uszczęśliwić, bo był naprawdę fantastycznym ojcem. No i przyrzekłem, że właśnie tak zrobię. To było sześć lat temu i wtedy jedynym pocieszeniem w tym wszystkim było to, że miałem jeszcze trochę czasu. Teraz, przesypywały się ostatnie ziarenka piasku w klepsydrze.

Natomiast sama Letycja, chociaż nie pałała do mnie miłością, nie mogła się doczekać, kiedy stanie się majątną panią na włościach. Pochodziła z uboższej rodziny, o niższym statusie społecznym, ale nasi ojcowie byli bardzo dobrymi przyjaciółmi, stąd wynikały nasze częste kontakty w nimi.

Tylko dlaczego było to takie ważne dla mojego taty? Nie mógł wtedy wiedzieć, że byłem gejem, bo sam jeszcze tego o sobie nie odkryłem. Poza tym w naszych czasach, w naszej kulturze, ludzie zwykle sami wybierają z kim chcą spędzić życie.

Z drugiej strony, można powiedzieć, że w ciągu ostatniego roku oswoiłem się nieco z myślą, iż miałem poślubić Letycję. Kobiety nie były obiektem mojego zainteresowania, więc równie dobrze, skoro miałem się ożenić, to mogła to być ona. Chociaż wolałbym kogoś o sympatyczniejszym usposobieniu, jak na przykład Primrose.

A tak naprawdę... Obraz Primrose w mojej głowie rozwiął się, a jej miejsce zajął Maxime. Ledwie go znałem, a już wzbudzał we mnie żywsze uczucia. Wiedziałem, że również nie byłem mu obojętny. Takie rzeczy się wyczuwa. I nie chodziło tylko o to, że mnie uratował, a potem miło mi się z nim gawędziło. W tak krótkim czasie naszej znajomości wytworzyła się między nami szczególna nić porozumienia.

Ale... nie byłem z nim całkowicie szczery. Nie wspomniałem ani słowa o moim zbliżającym się ślubie i głupio zgodziłem się na jego przyjazd do rezydencji. Czy w dalszym ciągu mogłem liczyć na jego pomoc i wsparcie w sprawie podejrzanych wypadków i przeczuc, które mnie ostatnio nawiedzały?

Potrzebowałem z nim jak najszybciej porozmawiać i wszystko wyjaśnić.

Szkoda – pomyślałem z żalem. Jestem jeden krok od zakochania się po raz pierwszy w życiu, ale najprawdopodobniej nic z tego nie wyjdzie.

Nie martw się! I tak być może niedługo umrzesz! – przypomniał mi inny, złośliwy głos w mojej głowie.